Nr. 11 (55). W Krakowie, w listopadzie 1912 r. Rok V.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie, wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata roczna 3 kor. — Dla Członków „Straży Polskiej“ i „Ligi“ 2 kor. (z przesyłką pocztową). Czek „Straży Polskiej“ ma Nr. 96.953

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Czesław Odrowąż-Pieniążek.**

Adres redakcyi i administracyi: **Kraków, ulica Floryańska L. 1.**

TADEUSZ KORZON.

Po okresie wielkiej, wspaniałej poezyi, po okresie wieszczów, nastał u nas okres genialnych malarzy i głębokich historyków. Po Mickiewiczu, Krasińskim, Słowackim wstępują na pedestale: Matejko, Grottger, Siemiradzki, a po Lelewelu: Szujski, Kalinka, Korzon.

Nowa szkoła historyczna, krakowską zwana, nowe podwaliny buduje nauce historyi i rozszerza dawną metodę, pogłębia ją, przetwarza i pociąga ku pracy zastępy znakomitych pracowników. Oba uniwersytety polskie rozbudzają rozpęd do badań dziejowych, w obu, na katedrach profesorskich, zasiadają znakomici historycy.

Poza uniwersytetami najpierwsi: Kalinka i Korzon. Podobni do siebie miłością ojczyzny, rzetelnym patryotyzmem, sumiennością w pracy, ścisłością w badaniu i wyszukiwaniu źródeł naukowych; różni poglądami, jak różni temperamentem. „Ostatnie lata Stanisława Augusta“ *Kalinki* i „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“ *Korzona* spierają się ze sobą w niektórych szczegółach historycznego poglądu, ale jednoczy je entuzyazm najszlachetniejszego idealizmu, patryotyzm czysty, szczery, rzetelny.

Zasługi Korzona tem większe, im więcej napotykał trudności i przeszkód w pracy, żyjąc i pracując w Warszawie; tem większe, iż pracować mu wypadło śród trosk codziennego żywota; tem większe, że praca naukowa nie była dlań szczeblem do zaspokojenia osobistej ambicyi, bo się jej zapierał całe życie.

To też cała Polska zjednoczyła się w Warszawie, w oddaniu hołdu temu cichemu pracownikowi, temu czystemu charakterowi, temu genialnemu historykowi, po upływie pięćdziesięciolecia działalności jego w zakresie historyi.

W sławnej kamienicy Baryczków, na Starem Mieście w Warszawie, gdzie mieści się lokal Towarzystwa miłośników historyi, w stylowej komnacie średniowiecznej, zebrali się reprezentanci nauki, inteligencyi, oraz liczne deputacye z Królestwa Polskiego, Galicyi i Litwy. Wchodzącego jubilata powitano serdecznym, długo nie milknącym oklaskiem. Wśród uroczystego nastroju rozpoczął szereg przemówień Władysław Smoleński, przypominając zebranym pełne chwały dzieje żywota Korzona, jego działalność nauczycielską, na stanowisku nauczyciela historyi w gim kowieńskiem, któremu oddał swe siły, choć otwierała się przed nim katedra uniwersytecka w Moskwie. Przypomniał mowca smutne dzieje wygnania Korzona do Orenburga, powrót jego do kraju, pedagogiczne prace w Piotrkowie i w Warszawie, wreszcie niespożyte zasługi dla nauki i społeczeństwa, którem przez pięćdziesiąt lat żywi myśl polską.

Do licznych mów, obecnych na uroczystości przedstawicieli, przyłączył się nader liczny poczet depesz gratulacyjnych, ze wszystkich dzielnic Polski. Z Krakowa, wśród wielu innych, otrzymał sędziwy jubilat życzenia od Akademii Umiejętności, której jest członkiem, od Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, od Henryka Sienkiewicza i wielu innych.

Wzruszony do głębi znakomity uczony, ze łzami w oczach dziękował zebranym i całemu społeczeństwu za ten „najpiękniejszy dzień w jego życiu“, bo tak nazwał tę chwilę, w której mu naród składał hołd i pełne wdzięczności uznanie.

Tadeusz Korzon urodził się na Litwie w Mińsku 9-go listopada 1839 roku z ojca Adama, sekretarza gubernialnego, i matki Henryki z Łowczyńskich. Po ukończeniu gimnazyum rządowego mińskiego w roku 1855 wstąpił na wydział prawa uniwersytetu w Moskwie. Ukończywszy go ze stopniem kandydata, pełnił jakiś czas obowiązki nauczyciela w gimnazyum w Kownie, a następnie był urzędnikiem komisyi gubernialnej w roku 1861.

Były to czasy podniosłego nastroju patryotycznego, rozbudzonego i poezyą mesyaniczną, którą młoda generacya ówczesna na wskróś się przepoiła, i ruchem narodowym włoskim i złudzeniami, przez jakie spoglądano na Napoleona III.

W Warszawie padały trupem ofiary patryotycznych uniesień, ulice miasta krwią polską zalewał carat. Naród okrył się żałobą we wszystkich dzielnicach i rozmodlił się, rozśpiewał hymnami do Boga o wolność ojczyzny.

„Wydarzenia społeczne warszawskie — pisze o tych latach życia Korzona jego wielbiciel, prof. *Askenazy* — żywem odbiły się echem śród polskiej społeczności Kowna; lecz pierwsze zaraz najskromniejsze tego objawy, parę zgromadzeń, nabożeństw, procesya przez Niemen na ziemię

Władysław Syrokomla

(Ludwik Kondratowicz)

(ur. 17. września 1823. zmarł 15. września 1862).

Ciąg dalszy.

Czyn Karlińskiego byłby zapewne bohaterskim gdyby toczyła się walka o zwycięstwo ojczyzny nad zewnętrznym nieprzyjacielem, gdyby w tej obronie zamku, zamknęły się losy narodu; wobec tego, że to była walka stronnictw, czyn Karlińskiego w tej domowej wojnie, staje się poniekąd więcej fanatycznym, niż bohaterskim. Fanatyk swego stronnictwa, a bohater dający dziecko zabić, by ocalić ojczyznę, to wielka różnica.

Niekonsekwentnym też jest Gumiński, zabijający syna — szpiega, a potem cieszący się z tego, że syn żyć będzie.

Uczucie miłości w utworach Syrokomli często do chorobliwych wiedzie rezultatów; ogarnia, pochłania zupełnie człowieka, trawi jego wolę, ubezwładnia i wciąga w rozpacz, której człowiek się poddaje, strawiwszy wszelką siłę odporną. To też prawda, że Janko Cmentarnik lub Szymon w „Wielkim Czwartku“ dość chorobliwie się przedstawiają; pierwszy jako ofiara miłości rodzinnego gniazda, drugi erotycznej; ale nie zapominajmy losów Wertera, a poniekąd i Gustawa, dopóki nie został Konradem.

I Janek i Szymon giną jak samobójcy. Nie odebrali sobie życia romansowym sztyletem, tragiczną trucizną, dramatycznym pistoletem, ale trywialnym chłopskim kieliszkiem. Narzędzie śmierci nie zmniejsza, ani nie zwiększa winy, ani też nie decyduje o wartości bohatera. Gdyby to byli pan Jan i pan Szymon, pewnieby nas raził w nich ten rodzaj samobójstwa i byliby dla nas upadłymi moralnie ludźmi, co ani żyć, ani umierać w porę nie umieli; od wieśniaka tego żądać nie możemy. Uczucia, namiętności te same w ludziach, tylko formy w nich inne i skala rozmaita. Formę wykuwa stopień ukształcenia, skalę tworzy udoskonalenie moralne. Syrokomla wybrał formę odpowiadającą stopniowi ukształcenia i skali moralnej: takiego Janka, lub takiego Szymona.

Jeżeli nam się podoba dopatrywać w tem ujemnej strony w kompozycyi, to nie zapominajmy, że jest tu coś, co i tę dopatrzoną ujemność zmniejsza. Janka miłość wiedzie go wprawdzie do rozpaczy, ale nie wytwarza w nim próżni, nie staje się jakąś nicością zwątpienia, jeno przelewa się z żywych na umarłych, z chaty na grób. Żywi go nie poznali, odepchnęli, garnął się do umarłych. Zmienił się przedmiot miłości, a miłość została. Jest w nim zbłąkanie, niema upadku.

Szymon, co
. . . bredząc, widział dzikie mary,
I znowu światu złorzeczył boleśnie,
Przeklinał trunek pijął go bez miary.
Przeklinał pieśnie, układając pieśnie,

czyż ma być gorszym od Wallenroda, co „porywa co chwila puchary z winem i do dna wychyla“.

Nie da się zaprzeczyć, że wolimy takie postacie jak wierny przysięgze Ułas, lub pełen skruchy pokutnik Chodyka. To już coś bohaterskiego w tych ludziach prostych, a wielkich wiarą, sumieniem.

Syrokomla kochał lud, rozumiał jego życie, jego potrzeby; z równą siłą i uczucia i plastyki maluje chłopską siermięgę, co kapotę szaraczka szlachcica. Utrzymują, że optymistycznie go pojmował, nawet z pokrzywdzeniem wyższej warstwy narodu. Nie przeczę, że lud u Syrokomli wypieszczony, zanadto może wymyty i nie taki rozczochrany, jakim go sobie szablonowo przedstawiamy, ale nie idzie zatem, by to było zbyt wielkim grzechem, jeżeli się uwzględni okoliczności, wśród jakich poeta przypatrywał się ludowi.

Na pełne grozy, Kainowe mordy 1846, nie patrzył poeta z bliska; przeciwnie, znał tradycyę pomocy ludu w walkach narodowych 1831 r. Z ubogiego dworku, w którym się urodził i wychował, nie było mu za wysoko na lud spoglądać i zstąpić do niego. W jego okolicach jest silny łącznik między ludem i warstwą wyższą, a tym łącznikiem wspólny interes w odpieraniu siły rządowej, która dąży do zabicia polskości we dworze, religii w chacie. Polskość i religijność związały się do wspólnej obrony.

Działalność literacka Syrokomli przypada na te czasy, gdy sprawa uwłaszczania ludu już dojrzewała, na całym obszarze ziem polskich, i stała się tylko kwestyą czasu i sposobu.

Jako człowiek żyjący przeważnie sercem, jako poeta czerpiący natchnienia z serca, serdeczniej też i goręcej czuł potrzebę zmiany dawnych stosunków społecznych, goręcej czuł nadużycia warstw wyż-

Królestwa, spotkały się z represyą gwałtowną ze strony nowego, wojowniczego gubernatora kowieńskiego, kontradmirała Krygiera; wnet zaczęły się śledztwa i areszty; na jakimś podrzuconym dokumencie znaleziono dopiski kompromitujące, kreślone ręką nieznaną, a przez mściwego gubernatora, bez żadnych dowodów, przypisane Korzonowi, który autorem ich rzeczywiście nie był wcale. Był on wtedy chory obłożnie; wzięty został natychmiast w październiku 1861 roku pod areszt domowy, potem przeniesiony do miejscowego więzienia dla przestępców politycznych, u Karmelitów, ogółem przez dziesięć miesięcy w ścisłem trzymany zamknięciu.

„Dzięki staraniom zawziętego Krygiera, który umyślnie jeździł w tej sprawie, ze skargą na niewinnego zgoła podsądnego, do generał-gubernatora Nazimowa do Wilna, został w końcu postawiony przed sąd polowy i, po krótkiej procedurze, w lipcu 1862 roku skazany na śmierć. Wyrok wymagał wszakże zatwierdzenia w Petersburgu, gdzie na szczęście postrzeżono krzyczące niescisłości proceduralne, wyrok śmierci skasowano i zamieniono na zesłanie pięcioletnie do Orenburga.

„Wtedy to, wprost po wyjściu z więzienia, a przed samem zesłaniem, odbył się, w kościele Augustyanów w Kownie, ślub Korzona z Jadwigą Kulwieciówną... Korzonowie wprost od ślubu udali się na drogę wygnania, w asyście dość wyrozumiałego zresztą żandarma, który, względem powierzonych swej pieczy nowożeńców, z pewnym liberalizmem stosował daną lapidarną instrukcyę: „z oka nie spuszczać, lecz na pięty nie następować".

„Po krótkiem zatrzymaniu się w Ufie, stanąwszy na pobyt stały w Orenburgu, w ciężkiem położeniu znalazł się Korzon z młodą żoną, delikatnego zdrowia, wstrząśniętą do głębi śmiercią matki (skazanej za działalność polityczną na roboty ciężkie), której z ostatnią nie mogła przyjść posługą, nękany nadto dotkliwą biedą materyalną, wyprawiony z domu bez żadnego zasiłku, a mając sobie wyznaczoną jedynie sakramentalną kompetencyę rządową, zesłańcom żonatym, stanu szlacheckiego, na utrzymanie przynależną, w kwocie 20 kopiejek srebrem na dobę. Zamieszkał w suterenie, ratował się za najskromniejszem oczywiście wynagrodzeniem, dawaniem lekcyi młodym Orenburczykom, oraz malowaniem portretów dostojników miejscowych, pragnących uwiecznić swe rysy najtańszym również kosztem...

„Niebawem jednak i ten skromny zasiłek zarobkowania przecięty został, gdy na skutek kilku wydarzonych w okolicy wypadków podpalenia, ówczesny jenerał-gubernator orenburski Bezak, zwaliwszy rzecz prosta odpowiedzialność na Bogu ducha winnych zesłańców polskich, wszelkiego z nimi obcowania zakazał najsurowiej wszystkim podwładnym sobie urzędnikom, co poniekąd równało się wyrokowi dla nędzy ekskomunikowanych Polaków... Nareszcie, latem 1867 roku, z upływieniem terminu zesłania, mógł opuścić Orenburg, wyjechał z rodziną tarantasem do Samary, dalej statkiem popłynąwszy do Kazania, stawić się musiał w Petersburgu, skąd dopiero powrócić mógł do kraju, do krewnych żony w Suwalskie. Wnet jednak usunięty stamtąd, jeszcze na przeciąg dwuletni został internowany w Piotrkowie, gdzie pod trwającym nadal dozorem, śród okoliczności krępujących, wciąż jeszcze trudny był sposób życia. Nareszcie, we wrześniu 1869 roku ostatecznie zwolniony, przeniósł się do Warszawy, gdzie znaleść miał w końcu możność pójścia za przyrodzonem powołaniem swojem".

Jako nauczyciel historyi w zakładach naukowych żeńskich, w szkole handlowej Kronenberga, w wybitnych domach prywatnych, krzewił Korzon w Warszawie znajomość historyi polskiej. W roku 1870 w rozprawie o „Historykach-pozytywistach" dał szerszym warstwom „pogląd rzeczowy na panującą wtedy wszechwładnie w umysłowości warszawskiej historyografię Bukle'a-Drapera", pisał dalej o „Ludziach przedhistorycznych", o „Nowych dziejach Mezopotamii i Iranu", o „Ranku filozofii greckiej", o „Życiu umysłowem Grecyi", o „Vicu", o „Stanowisku historyka wobec swego narodu i ludzkości", o „Powieściach historycznych Kraszewskiego", o „Joinvillu", ułożył podręczniki historyi wieków średnich i historyi starożytnej dla Królestwa, w latach zaś 1882 do 1886 ukazały się wreszcie pomnikowe „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta 1764 do 1794".

Dodać tu trzeba monografię „Kościuszko" i trzytomowe dzieło: „Dola i niedola Jana Sobieskiego".

Powołany w roku 1897 na stanowisko dyrektora biblioteki ordynacyi Zamoyskich, w poważnem otoczeniu ksiąg i materyałów, znalazł Korzon na resztę dni życia przytułek i godny siebie warsztat naukowy. Ostatniemi z ogłoszonych dzieł Korzona są trzytomowe „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce", praca na źródłach z pierwszej ręki oparta, pisana w latach wielkiego zamętu porewolucyjnego w Królestwie, dowód niespożytej sprężystości badawczej i żywotności pisarskiej 70-cio letniego męża.

A do tego plonu dzieł prawdziwie pomnikowych dołączyć trzeba cały szereg prac pomniejszych, rozpraw, charakterystyk, odczytów, w których zawsze przejawia się naukowe ujęcie materyału i jasny pogląd historyka, z wyżyn doświadczeń dziejowych wysnuwającego wnioski i wskazania dla teraźniejszości.

Cierpiał dla narodu, pracował dla narodu, żywot mu poświęcił cały, nie żądny zapłaty, zaszczytów. Toć cała Polska składa mu hołd w pięćdziesięciolecie tak pięknem, jakich mało bywa, składa hołd nietylko uczonemu, ale i człowiekowi, co charakterem swoim narodowi przyświeca.

Cześć Mu i najgorętsze życzenia długich jeszcze i pogodnych dni życia. *(w. k.).*

Ugoda z Rusinami.

(Dokończenie).

II.

Wypada nam się teraz zastanowić, z kim ugoda ma być zawartą. Ponieważ poczytujemy i uznajemy Rusinów za etnograficznych współwłaścieli Galicyi, przeto ugodę zawrzeć trzeba, jak ją zawiera spólnik ze spólnikiem. Takie ugody zawierają się na podstawie włożonego do spółki kapitału. Kto do spółki dał większy kapitał, ten ma prawo do większych zysków i do wywierania większego wpływu na działalność spółki.

Czy kapitał nasz i ruski jednakie?

W miastach tworzy ludność, używająca języka polskiego 89%, ruskiego 8%, niemieckiego 2%, innych języków 1%.

Te 8% ruskiej ludności miejskiej, to przeważnie służba domowa, wyrobnicy; a w ruchu przemysłowym, handlowym i rękodzielniczym, zaledwie część tej ruskiej ludności, jaki taki bierze udział. Z wykazów obu Izb rękodzielniczych (w Krakowie i Lwowie) dowiadujemy się, iż po dzień 1-go sierpnia 1912 należało do nich 52 stowarzyszeń rękodzielniczych z liczbą 5.710 członków, między którymi zapisało się do ruskiej narodowości 167 czyli około 3%.

W Izbach handlowo-przemysłowych, tworzyli Rusini tylko 1%.

W miastach więc nasz spólnik bardzo nikły ma udział.

Wielka własność ziemska jest niemal wyłącznie w posiadaniu Polaków. Wyborców do sejmu z wielkiej własności było ogółem 2.297, z czego tylko 47 Rusinów. Podatki bezpośrednie, płacone z wielkiej własności, wynosiły 4368.621 koron, z czego Rusini płacili tylko 44.433 koron.

A więc w miastach i w posiadaniu wielkiej własności, są Rusini nic nie znaczącymi spólnikami, a przecież miasta i wielka własność nadają krajowi właściwe piętno, są ogniskami i rozsadnikami kultury, więc też naród, który posiada wielką własność ziemską i miasta, wniósł do spółki kapitał o wiele większy, niż jego spólnik bez miast i wielkiej własności.

Ludność wiejska dzieli się na 56% używających języka polskiego, 43% ruskiego, 1% niemieckiego. Tu już kapitał ruskiego spólnika poważny, to też właściwie na tle spraw wieśniaczych mieliby ruscy spólnicy prawo do pełnego korzystania, z włożonego tu kapitału, a nie na tle spraw ogólnych. Wynika więc z tego, że temu

---

szych, jaskrawiej mu się przedstawiały krzywdy ludu wiekowe. Że czuł się szlachcicem, że miał też i dla krzywdzących serdeczną wyrozumiałość, chociaż karcił, nie rzucał demagogicznych piorunów i błotem, z paryskiego bruku podniesionem, nie walał tych, co błądzili wiele, ale i cierpieli wiele. Natomiast lud wzgardzony, a przynajmniej lekceważony ponad sił, idealizował i tem niejako dawał mu zadosyćuczynienie w poezyi, za niesprawiedliwość w życiu.

Przemawiałyby tu przeciw mnie takie utwory, jak: „Lalka" „Hrabia na Wątorach" „Wiejscy politycy" i t. d. gdzie dużo gryzącej, niecierpliwej, złośliwej nawet satyry, lecz czyż nie dostarczyło mu społeczeństwo materyału do niej? Zdaje mi się, że tu można pozostać najwierniejszym i krwi swojej i tradycyi rycerskiej, i konserwatyzmowi nawet społecznemu, a jednak nie gniewać się na poetę. Chłoszcze satyrą wyższą warstwę, ale jej nie obala, nie neguje, nie znosi jednym zamachem zuchwałego beztaktu i bezrozumu, jak czynili inni, jak czyniło wielu. Jest w satyrze bezwzględność pewna w uniesieniu się gniewem, a zbyt wiele żółci w goryczy, ale niema obelgi, niema kalumnij, bo grzech smagany istotny był, prawdziwy. Jeżeli się na Syrokomlę gniewamy, pogniewajmyż się na Niemcewicza za „Powrót Posła", z którym „Wiejscy politycy" tak blisko są spokrewnieni, pogniewajmy się na Krasickiego i t. d., pogniewajmyż się n. p. na Bonawenturę z Kochanowa, a pogniewajmy dziesięć razy więcej. Ale to już taka dola maluczkich. Wolno było pisać satyry tym, co byli *nati i possesionati*, ale plebejowi Kłonowiczowi zasię było do tego.

To nie racya! Nowsza szkoła historyków polskich wydała się niejednym gromadą panflecistów, wobec Lelewelowskiej szkoły, w której wychowały się i rozsmakowały dwa pokolenia.

Syrokomla lud kochał, ale i naród kochał; stawiał się za ludem jako za częścią narodu, a nie szermierzył wcale jak demagog francuski. Ze stanowiska narodowego, nie społecznego zapatrywał się na sprawę włościańską.

Jest ustęp, który rzuca rękawicę szlachcie:

„Myślałem sobie: napróżno krzykacze,
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas nie darmo szlachetnymi zwano...
Przecież się stało — kraju mój rodzony,
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili:
Ojcowie twoi własnemi imiony
Podali dziejów ohydnej pamięci
Swoją praktyczną opiekę nad gminem,
O, wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem
I hańba mojej herbowej pieczęci!"

Gorączkowo to powiedział i niesłusznie, bo koniec końcem, nie potrzebował się wstydzić „herbowej pieczęci", gdyż ci, którzy bywali wielkimi w błędach, bywali większymi jeszcze w miłości, w ofierze i umieli wielki błąd, wielkim czynem płacić. Że w chwili przełomu, niecierpliwym był poeta, że okiem proroczem nie przewidział rezultatu, toż „nie błogosław, nie złorzecz", bo on i wielu innych „wszakże ludźmi byli".

A Syrokomla był na wśród człowiekiem i to człowiekiem tkliwym, sercowym, nawet miękkim na wrażenie, a więc nie dziw, że bolała go skarga:

Kiedy cierpię wiele,
Gorzkie dumki moje
Z kim ja was podzielę?
Któż mój ból ukoi?...
Próżno głos swój trudzę:
Zimny ród człowieczy
Na boleści cudze.

i powiedział sobie:

„Więc dla ciebie śpiewam gminu szaraczkowy",
bo „...kto raz przy piosence ludowej zapłacze,
Przestanie się pastwić nad ludem!
Litwini ulegną pieśniowej potędze,
Zbliżą się z rodzinną szczerotą,
I Litwin we złocie i Litwin w siermiędze
W braterskich uściskach się splotą".

Mimo całą satyryczność, podnosi Syrokomla lud ku szlachcie, a nie spycha szlachty z jej dziejowego stanowiska, nie neguje jej i tu postępowość, prawdziwie w duchu potrzeb naszych, łączy się z tradycyą. Ukochał w przeszłości, co miała dobrego; bierze z idei unoszonych przez prądy wieku to, co nam potrzebne, by ziścił się „jeden tylko, jeden cud, z szlachtą polską polski lud".

To stanowisko Syrokomli względem przeszłości i takie pojmowanie obowiązku narodowego wzglę-

narodowi wieśniaków, słusznie się należy równouprawnienie w szkolnictwie ludowem na wsi i to jedynie na wsi. I gdyby tego nie mieli, doznaliby krzywdy.

Wykazaliśmy poprzednio, że krzywdy tu nie doznają, bo szkół wiejskich posiadają więcej nawet, niż lud polski. A że mają i gimnazya i uniwersytetu nikt im z Polaków nie broni, nie odmawia, to już po prostu dzieje się chyba nie na mocy praw spólnika, o maleńkim kapitale udziałowym, jeno z dobrej woli, z braterskiego serca polskiego spólnika. A za to, co ten hojny spólnik zyskuje? Obelgi, oszczerstwa i rozbójnicze zamachy na swój kapitał, w spółce umieszczony.

Naród nasz, z kulturą odwieczną, posiadający wielką własność ziemską i miasta, traktuje ubogiego, wieśniaczego wspólnika, który w kulturze swej dopiero abecadło zaczyna, jak równego sobie, jak brata, jak to wykazaliśmy dowodnie w poprzednim numerze naszego pisma. Polski magnat, polski przemysłowiec, polski kupiec, polski uczony, zaprosili do wspólnego stołu ruskiego wieśniaka i dzielą się z nim każdym kęsem po równej części, a on podnosi pałkę i chce ich od stołu odpędzić. Bronią się, a Iwan wrzeszczy, że mu krzywda się dzieje, bo się oni bić nie pozwalają.

Tyle o wspólnictwie.

Gdyby nawet Rusini byli równorzędnym i równoważnym z nami czynnikiem do ugody, to i tak nasuwa się pytanie, z **k i m** się godzić? Godzić się z nimi, jak naród z narodem!

Ba! Godzić się z narodem, który wielbi, jako swych największych bohaterów: Chmielnickiego, zdradzieckiego szlachcica polskiego, co zdradził Polskę i został Rusinem, potem zdradził Ruś i został Moskalem. Wielbi zwykłego zbója Żeleźniaka i nikczemnego mordercę Siczyńskiego. Chmielnicki, Żeleźniak i Siczyński, to bohaterowie ruscy, a ci nie nadają się chyba do towarzystwa z naszym Kościuszką, Czarnieckim, Kordeckim, z całą seciną wielkich naszych, czczonych przez świat cały.

Ale zapomnijmy i o tych bohaterach, a myślmy o narodzie. Gdzież ten naród ruski? Wszakże on sam nic nie wie, czy jest i czem jest. Nie dawno zwał się Rusinem, teraz zwie się Ukraińcem, a czyż mamy pewność, że za lat kilka nie zmieni firmy? Ależ bo nie wszyscy nawet Rusini uważają się za naród odrębny; wszakże znaczna ich część uważa się tylko za odłam narodu rosyjskiego, a nie za odrębny naród.

Jeżeli ugodę zawrzemy z tak zwanymi Ukraińcami, krzykną ci, co za Rosyan się mają, że ugoda ich nie obchodzi, że jej nie uznają, że ugoda ich krzywdzi i znowu harmider, narzekania, oszczerstwa nacyonałów rosyjskich przed Europą. Spróbójmy ugodzić się z owym odłamem Rosyan, wtedy hajdamaccy Ukraińcy przyskoczą z nożem i pałką. Godzić się z jednymi i drugimi jest wprost niemożliwe, bo jedna ugoda byłaby negacyą drugiej.

A więc z **kimże** się tu godzić?

Kto ugodę zawiera, musi mieć zabezpieczenie, że warunki dotrzymane zostaną. A czy możemy mieć takie zabezpieczenie?

Wszakże Ukraina, za Chmielnickiego, wywiesiła sztandar wolnej Rusi, a nie długo potem poszła dobrowolnie w służbę carską. Czy dzisiejsza Ukraina galicyjska nie uczyniłaby tego samego? Ręczyć nie można. Przecież pierwotnie tylko nieliczne jednostki, pozyskane rublem, zaczęły nieśmiało przebąkiwać o wspólności narodowej z Rosyanami, a wnet z tych jednostek wyrastały coraz liczniejsze grona, aż wreszcie powstało stronnictwo, rosnące z dniem każdym. Mnożyło się to stronnictwo przez ściąganie do siebie tych właśnie, co zrazu przeciw niemu zawzięcie występowali. Skoro tak było, a i tak jest teraz, toć nietrudno przewidywać, że i nadal tak będzie i wyczekiwać można powtórzenia się historyi dawnej Ukrainy Chmielnickiego.

Dzisiejsi „Tyrolczycy wschodni“, jak się Rusini, dla przypodobania rządowi wiedeńskiemu, nazywać radzi, może kiedyś zostaną wierną Rosyi kozaczyzną. Byle nas wypędzić za San, byle zyskać samodzielność we wschodniej części kraju, byle stać się odrębną ruską prowincyą, a potem już pójdzie gładko handel na dwie strony, z Austryą, albo Rosyą. Wyparła się spora garść Rusinów odrębności narodowej i nazwała się odłamem Rosyi, toć może i reszta uczynić toż samo, a za niedługie lat dziesiątki krzyknie Ruś halicka, że jest częścią Rosyi i do niej już cała ręce wyciągnie, jak dziś wyciąga je tylko jedno stronnictwo.

Otóż nie mamy o co się godzić z Rusinami, bo krzywdy żadnej nie doznają, są najzupełniej z nami równouprawnieni i nie ma najmniejszego objektywnego powodu do sporu. Rusini posiadają nawet więcej, niżby im się właściwie należało, jak to poprzednio wykazano.

Nie mamy też z **k i m** się godzić, jako naród z narodem, bo Rusini **n a r o d e m** jeszcze nie są, a są dopiero **l u d e m**, a sami jeszcze nie wiedzą, czy z tego ludu rozwiną się w naród odrębny, czy też rozpłyną się w morzu rosyjskiem.

Oczywiście mowa tu nie o ludzie ruskim, który wie czem jest i temby pozostał, gdyby go nie bałamuciła krzykliwa gromada *prowodyrów*, wyrosłych z ludu, a pnących się do rozgłosu, znaczenia, nie cichą pracą i zasługą prawdziwą, jeno warcholstwem.

Ta falanga **p o l i t y k ó w** (?) ruskich sprawia zamęt, bo jeno z zamętu wyrosła, zamętem istnieje. Do pracy pozytywnej dla swego ludu niechętna, nawet niezdolna, uprawia też jeno politykę negacyi, opozycyi, a to dla samej negacyi, dla samej opozycyi.

Ambicye tej wyrastającej z pnia ludowego, inteligencyi ruskiej, mają w sobie coś z buty żakowskiej. Nikt tam nie chce spinać się, pracą i zasługą, ze szczebla na szczebel do wybitnego stanowiska w kraju, jeno od razu chce być atamanem, a bodaj watażką.

Ambicye te posługują się kłamstwem, niewątpliwie bezprzykładnem w dziejach. *Prowodyrzy* okłamują lud ruski, aby w nim rozbudzić, rozkiełzać najradykalniejsze zapędy i stać się tych zapędów kierownikami. Okłamują świat, licząc na ignorancyę jednych, obojętność drugich, a niechęć ku nam innych. A w tem tak wytrwali, że mimowoli ciśnie się do głowy echo tego, co sami sobie głośno wytykają, nawet w polemice parlamentarnej w Wiedniu, a mianowicie, że jednych rubel rosyjski podnieca i umacnia, a drugich marka pruska.

Czy tak, czy owak, wszelkie narzekania ruskie na ucisk, krzywdy i upośledzenie są kłamstwem i tylko kłamstwem, jak to wykazaliśmy dowodnie.

Daj nam Boże takiego ucisku, takich krzywd, takiego upośledzenia doczekać się pod rządem pruskim i rosyjskim, a nawet na Śląsku austryackim.

Cz. P.

Z otwartą przyłbicą.

Bez zwrotów retorycznych, bez wszelkich formułek parlamentarnego stylu, z całą szczerością rycerską zapowiedzieć trzeba, że walka wydana przez ludność żydowską w Warszawie narodowi naszemu, pod zaborem rosyjskim, jest walką nie lokalną warszawską, na gruncie spraw wyborczych w Królestwie, ale walkę wydaną Polsce całej.

Straz Polska nie jest ani krakowską jedynie, ani galicyjską, lecz **p o l s k ą**, a więc odczuwać musi wszelką krzywdę, czy obelgę, czy bodaj obrazę Polsce wyrządzoną, bez względu na to, gdzie się to stało. Obowiązkiem naszym nietylko zapisać fakt po kronikarsku; ale i odezwać się głośno do żydów, aby powstrzymali współwyznawców swoich od dęcia w surmy wojenne, bo od nich nie zwalą się żadne mury, jeno ich głos rozbudzi taki zapał w obrażonym narodzie naszym, że od niego mogą spłonąć do szczętu te nasze uczucia, te tolerancye, te najlepsze chęci, ta serdeczna gościnność, które sprawiły, że więcej niż połowa żydów całego świata, u nas gościnę znalazła i chleba dla siebie dostatek, i braterskie do narodowej rodziny przyjęcie.

Solidarna odezwa wszystkich stronnictw, czy partyj żydowskich w Warszawie, pełna zdumiewającej zuchwałości, ziejąca obrażającą nas pychą, zniewalać musi do bardzo poważnych refleksyj. Jeżeli tam trysnąć mogła z żydowskiej piersi fala zniewagi naszego narodu, to mogłaby i gdzieindziej rozlać się mętnym strumieniem.

---

dem ludu, zespala twórczość naszego poety z duchem całej poezyi naszej ostatniego okresu. Wpływu na nią nie wywarł, kierunków nowych nie nadał i nie stworzył, ale tę ma przedewszystkiem zasługę, że **s p o p u l a r y z o w a ł**, na swój sposób wyłożył najpiękniejsze hasła narodowe, rzucone w pierś narodu poezyą Mickiewicza i Krasińskiego.

Widzieliśmy Syrokomlę w dworku i w chacie, widzieliśmy go z goryczą w ustach, a ze łzą w oku, gdy patrzył na „gmach pański“, a teraz idźmy z nim do kościoła.

Tam go znajdziemy często, prawie zawsze, w doli i niedoli, w każdej niemal piosence, w każdej gawędzie, bo pierwiastek religijny jest w jego twórczości równie silny, równie szeroko rozlany, co narodowy. Nie mogło być inaczej, bo tak jest w naturze naszego narodu, bo tak jest w poczciwej duszy człowieka, a Syrokomla miał ją poczciwą.

Nie jest to religijność u naszego poety ani uczona teologicznie, ani zaciekająca się w mistycyzm, ale prosta, szczera, nie szukająca filozofii, a zadowolona katechizmem, wyrozumiała dla drugich, nie odrywająca od ziemi, ale prostująca drogę ziemskiego żywota. Zasady religijne, morał z nich wynikający, stosuje do praktyki życia; z dziecięcą pobożnością patrzy na obrzędy kościelne, z czystą wiarą prostaczka wprowadza cudowność w sprawy ludzkie, i o te ludzkie sprawy się modli, bo „rolnikom o deszczyk ciepłowy“. I o samego siebie się troszczy, by poczynał wszystko z Bogiem i na chwałę Bożą, a „we wszystkich krokach swojego życia, uznaje prawicę Bożą“.

„A ty wiaro nadziejo! ty miłości Boża!
Kiedy przy dę do stopni waszego podnóża,
Błogosławcie me pieśni jako wdowie grosze,
Czy je w ciszy zanucę, czy światu wygłoszę,
Błogosławcie, gdy wielbiąc co wielkie i piękne,
Czasem sobie po prostu na lirence brzęknę.
Niech w brzęku uroczystym, treny jak modlitwy,
Idą na chwałę Bożą i pożytek Litwy“.

Wiara głęboka staje mu się zawsze potrzebą życia, a jeżeli chwilami niezdrowe podmuchy na nią działają, czuje się niemal nieszczęśliwym. „Pobyt w Wilnie napędził mi przykrych myśli i wrażeń... prostak wiejski, kochający **w i a r ę**, literaturę, ani pojmowałem, jak opłakany rozbrat wyobrażeń u nas panuje. *Obstupui*... z wyrazami postępu i braterstwa na ustach, plwają na wiarę, na tradycyę ojców, na wszystko drogie i święte. Zimno i nielitościwie profanują to, co jak Eucharystya w *sanctum sanctorum* duszy z cześcią pielęgnować się powinno... wróciwszy do siebie wieczorem, **ł z a m i s i ę z a l e w a ł e m**“. (List do Kraszewskiego.)

Wielka miłość bliźniego, serdeczność dla wszystkich, chęć usłużenia każdemu, gdy sobie najmniej usługiwać umiał; pragnienie, by wszystko waśniące się godzić, jednać, brak wszelkiego samolubstwa, czyż to wszystko nie dowodzi, że zacne Syrokomli serce urobiło się w duchu tej świętej wiary, co głosi miłość? „Co za dziewicza prostota w tem zaufaniu, że on potrafi połączyć, przejednać, skupić i zbliżyć wszystkich. Jakie to cudownie piękne i cudownie dziecinne“ powiada Kraszewski o tych Syrokomli usiłowaniach, podejmowanych w Wilnie.

To było dziecinne w świecie: „chrześcijańskim tylko z imienia“, ale taką już była ta prosta wiara jego, co mało troszczyła się o głowę, a mieszkała w sercu i na serdecznych strunach mu grała dźwięki Chrystusowej miłości. Po dziecięcemu też poufali się z Niebem, jak kolenda ludowa, jak legenda gminna, które mu tyle dostarczyła motywu i tematu.

Nie przebaczono mu w swoim czasie „Kanonika Przemyskiego“ i owej „święconej pomady“ w wierszu do Rumbowicza, a potępiono „Stellę“.

Czemże był ten „Kanonik Przemyski“? Poematem, o którym ze stanowiska literackiego powiedzieć trzeba, że jest nie tylko niezgrabnie pomyślanym, ale i słabo, a dość nudnie napisanym, a już mniejsza z tem, że urwany, nie wykończony, bo na tem nie wiele tracimy. Ze stanowiska religijnego, cóż zarzucić poecie, skoro prosi:

„I nie rzucaj kamieńmi na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali“.

Poeta w dobrej wierze pragnął malować epokę i jej ludzi, a malować tak, jakimi ich historya przekazała jego wiedzy.

Kto bez uprzedzenia wczyta się w „Kanonika Przemyskiego“, ten musi się tam dopatrzyć silnie katolickiego poczucia w autorze. Reformacya tam osądzona, nawet przedstawiona, nie z ogólno ludzkiego i historycznego punktu zapatrywania, ale z całą podmiotowością katolicką poety. Z ust Orzechowskiego nie wychodzi ani jedno słowo, któreby godziło w kościół, w religię, przeciwnie:

Zalewać się zuchwałemi groźbami nie dozwolimy. Słusznie mówi *Kuryer Warszawski*: „Czy jest jakikolwiek naród na świecie, w którym nie obudziłaby się w tych warunkach pełnia instynktu samozachowawczego? Czy jest gdzie społeczeństwo, któreby pozwoliło sobie dyktować normy postępowania mniejszości ciemnej, koczowniczej i cudzoziemskiej?“

W ślad za wyzywającą odezwą, dopuścili się żydzi w Warszawie nikczemności, wybierając na reprezentanta Warszawy socyalistę. Wszyscy żydzi, jednomyślnie wystąpili tu przeciw woli polskich wyborców. Wybrany Eugeniusz Jagiełło, robotnik z partyi socyalistycznej, będzie reprezentował żydów, a nie Warszawę.

Kuryer warszawski tak się o tem wyraża:

„Tak więc żydzi postawili na swojem. Nie ulękli się odpowiedzialności, skorzystali z pierwszej sposobności politycznej, aby społeczeństwu polskiemu wyrządzić krzywdę. Wybrali własnego posła, narzędzie własnych ambicyj i dążeń. W społeczeństwie polskiem nikt go za swego przedstawiciela nie uzna. Ani inteligencya, ani klasy posiadające, ani klasy rzemieślnicze i robotnicze. Aby móc reprezentować interesy swych wyborców, trzeba posiadać ich zaufanie, podzielać ich poglądy, zdobyć ich głosy. Przeciwko p. Jagielle głosowali nawet jego towarzysze fabryczni, przeciw jego kandydaturze opowiedziała się nawet partya, do której programu przyznaje się p. Jagiełło.

„P. Jagiełło przyjął mandat z rąk nacyonalistów żydowskich. Będzie też tylko ich posłem. Społeczeństwo polskie przechodzi nad jego osobą do porządku dziennego. Ale jednocześnie stawia na pierwszym punkcie swych zagadnień wewnętrznych kwestyę żydowską. Dzisiejszy wybór żydów jest najjaskrawszą manifestacyą, jaką tylko można sobie wyobrazić. Oddając dzisiaj swe głosy na socyalnego demokratę, nacyonaliści żydowscy, żywioł *par excellence* kapitalistyczny, spekulatorski, społeczno-zachowawczy, złożyli dowód, że jeśli chodzi o ich stosunek do interesów narodowych polskich, to gotowi są nawet akceptować hasła przewrotu socyalnego i skrajnego radykalizmu politycznego.

„Oddając swe głosy na kandydata, nie mającego do posłowania żadnych kwalifikacyi i pełnomocnictw politycznych i umysłowych, żydzi chcieli zaświadczyć, że pragną zaakcentować, jak najsilniej, lekceważenie interesów polskich na terenie petersburskim. Głosując za p. Jagiełłą, przeciw któremu zasadniczo stanęło całe społeczeństwo polskie, żydzi pragnęli zaznaczyć, że nasza wola narodowa nic tu nie znaczy, że oni mogą nam narzucać swoją wolę, że chwytają się pierwszej sposobności, aby rzucić narodowi polskiemu wyzwanie bojowe. Niech tak będzie. Stoimy wobec faktu dokonanego. Przyjmujemy walkę.

„Wybór dzisiejszy uważamy za symbol. Fakt konkretny ustępuje tu przed symptomem. Straciliśmy jeden mandat mimo to, żeśmy uczynili najwyższe wysiłki, aby go dla sprawy narodowej ocalić. Za to zdobyliśmy jasne poznanie ważnej strony stosunków wewnętrznych, świadomość stojącego przed nami niebezpieczeństwa; rozpoznaliśmy rysy wrogów wewnętrznych. Tryumf żydów jest chwilowy. Mamy głębokie przekonanie, że żydzi drogo go zapłacą. Społeczeństwo musi teraz przystąpić do spokojnego, dalekiego od wybuchów uczuciowych, zastanowienia się nad systematycznymi środkami, obrony przed wrogami i sposobami walki z żywiołem odśrodkowym i napastniczym“.

Straż Polska wielokrotnie zaznaczyła, że nietylko do antysemityzmu się nie skłania, ale przeciwnie: nie czyni różnicy między dobrym Polakiem katolikiem, a dobrym Polakiem żydem. *Straż Polska* rozwinęła swe zapatrywania w Nrze 34, z lutego 1911 roku w artykule *Syoniści i Niemczyzna* i odwołując się do owego artykułu, ostrzega, że dla Berków Josełowiczów, Meiselsów, Samelsonów, Warszauerów, Szancerów, Fruchtmanów i t. d. jest w Polsce bratnie serce, jest wdzięczna pamięć, jest miejsce zaszczytne na kartach historyi narodu; ale dla tych, coby się zuchwale zapędzali do takich odezw, jak owa warszawska, do takiego lekceważenia woli narodu, jak ów wybór Jagiełły, mogłoby braknąć miejsca i chleba między nami.

Jak wszyscy Polacy-katolicy odczuwają zniewagę wyrządzoną przez żydów naszemu narodowi w Warszawie, tak wszyscy żydzi, na całym obszarze ziem polskich, powinni odczuć, zrozumieć i potępić zuchwałość swoich warszawskich współwyznawców. *Cz. P.*

Dom polski w Bielsku.

Zarząd „Spółki ochrony i pomocy narodowej“ w Bielsku, odzywa się do narodu o pomoc. Jakkolwiek obarczeni jesteśmy podatkiem narodowym, bo Tow. Szkoły Ludowej i Macierz śląska domagają się ofiar, które z pod serca dobyć, od ust ująć należy koniecznie, ze świętego obowiązku, — toć przecież i tu wysilić się trzeba, aby dom polski w Bielsku w niemieckie ręce się nie dostał.

Bielsko, tuż na granicy Galicyi leżące, razem z miastem Białą, jest po dziś dzień gniazdem najzagorzalszego hakatyzmu na ziemi polskiej, pod zaborem austryackim. Otoczone dokoła polską ludnością oba te miasta, z niesłychaną zaciętością, z iście germańską butą, wytępić chcą wszelkie ślady, że tu jest ziemia polska.

W Bielsku przedewszystkiem dotychczas niepodzielnie panuje germanizm. W szkołach nie tylko nie uczą po polsku, ale wprost wpajają zaprzaństwo narodowe. Polska dziatwa zmuszona jest w obcej mowie uczyć się pacierza, jak pod Prusakiem. W zarządzie miasta, które ma swój własny statut, dający przewagę Niemcom, język polski jest zupełnie wykluczony; nawet prywatne napisy polskie bywają zamazywane lub obrzucane błotem, nawet afiszów polskich nie wolno rozlepiać na murach. W kościele również język polski jest tylko cierpiany, bo tylko ranne niedzielne nabożeństwa, i kilkanaście świąt w roku, przeznaczone są dla Polaków, chociaż przeważnie polska ludność zapełnia dom Boży.

A przecież polski lud pracujący stanowi tu niewątpliwie większość, pod pokostem i terrorem niemieckim, i jego twardą i znojną pracą bogacą się tutejsi fabrykanci Niemcy, bez różnicy wyznania. Mieszczaństwo, w większości pochodzenia również polskiego o polskich nazwiskach, zahukane przez hakatystów, niechętnie przyznaje się do polskości i często idzie razem z najzaciętszymi wrogami.

W takiem mieście zdobyć, i utrzymać dla polskości, jaki taki posterunek i stworzyć z niego ognisko, w którem przygnębiona, a jednak budząca się ludność polska, mogła się skupiać, uczucia narodowe pielęgnować i strząsnąć z siebie jarzmo niemieckie, wymagało twardej i wytrwałej pracy.

W tym celu powstała w roku 1902, „Spółka ochrony i pomocy narodowej“, stowarzyszenie z ogr. por. w Białej dla utrzymania „Domu polskiego“ w Bielsku.

W r. 1902 liczyła „Spółka“ 181 członków, udziałów złożono 645 K 20 h Dnia 10 lipca tegoż roku kupiono za 44.009 K dom z ogrodem w Bielsku, przy ulicy Blichowej l. 40, który to dom obrócono na „Dom polski“. W kupionym lokalu urządzono salę i czytelnię, zaopatrując ją w gazety i książki.

Uroczystość otwarcia „Domu polskiego“ nastąpiła 10 października 1902, co Niemcy przyjęli z oburzeniem, jako *Poleneinbruch in Bielitz* i usiłowali gwałtem przeszkodzić otwarciu tego domu i organizowaniu się Polaków w tem mieście. Całodzienne oblężenie i zdemolowanie dachu, połamanie okien, poplamienie murów świadczyło, przez kilka następnych tygodni, o brutalności Niemców bielskich.

„Dom polski“ z czasem zyskał pewien autorytet i u Niemców, kiedy garnęły się doń tłumy polskiej ludności, kiedy powstał w nim „Sokół Polski“, Koło T. S. L. i liczne organizacye robotnicze. „Spółka pomocy i ochrony narodowej w Białej“, mimo statutu, opartego na ustawie o spółkach gospodarczo-zarobkowych z r. 1873, nie mogła rozwijać gospodarczej działalności dla braku pieniędzy.

„Dom polski“ był kupiony za pożyczone pieniądze i trzeba było poświęcić wiele troski, żeby spłacić raty i odsetki długów.

W r. 1910, dnia 11 lipca zmieniło Walne Zgromadzenie statut „Spółki“, jako stowarzyszenia zarob. gosp. z ogr. poręką, na zwykłe stowarzyszenie kulturalne, którego celem jest utrzymanie „Domu polskiego“ i Ochronki polskiej w Bielsku.

Na podstawie tej uchwały wykreślił c. k. Sąd handlowy „Spółkę“ z rejestrów handlowych, a zatwierdził statut dla tow. kulturalnego, opartego na ustawie z roku 1867 pod nazwą: *Spółka pomocy i ochrony narodowej w Bielsku.*

Ponieważ przy rozwiązaniu „Spółki“ nie przeprowadzono likwidacyi majątku, ani nie przepisano go na nowe Towarzystwo, przeto nowy Zarząd, opierając się na formalnościach prawnych, wniósł prośbę do właściwej władzy o przywrócenie „Spółki“ jako stow. zarejestr. z ogr. poręką i sprawa ta będzie w najbliższym czasie pomyślnie załatwiona.

Sejm kraj. w r. 1908 wyznaczył znaczną subwencyę na budowę sali na zgromadzenia i przedstawienia ludowe, bo dotychczasowy lokal, wobec obudzonego ruchu narodowego, okazał się za szczupłym.

Magistrat Bielska w udzieleniu koncesyi budowlanej czynił tyle trudności, że sprawa ta przeciągła się do roku 1911 na ustawicznych rekursach i procesach. W tym czasie nadarzyło się kupno sąsiedniej realności, z rąk towarzystwa niemieckiego „Gesellverein“, za 58 tysięcy koron. Realność ta posiada właśnie dużą salę teatralną.

W r. 1911, dnia 31 marca nowe Towarzystwo „Spółka pomocy i ochrony narodowej w Bielsku“ zawarło tymczasowy kontrakt kupna i złożyło zadatek 4000 K, dalsze 16.000 K gotówki miano złożyć przy zawarciu notaryalnego kupna 30 czerca 1911 r. Tymczasem zdołano złożyć do 30 września 1911 r. zaledwie 9000 K.

Ostateczny termin do złożenia reszty gotówki za kupiony dom minął, a pieniędzy nie było.

„Straszno mi... mógłbym zostać niegodnym kapłanem
Czy gdzie kacerz wypuści z niemieckiej zasadzki
Na zgruchotanie Rzymu swój grot świętokradzki,
Ja spieszę zdeptać hydrę, jak powinność woła
Jako prawy walecznik Pańskiego kościoła“.

W wierszu do Rumbowicza, pełnym humoru, zabawnych anachronizmów, zamknął żart, który go jeszcze nie piętnuje na niedowiarka, jak „Monachomachia“ nie czyni bezbożnikiem Krasickiego. Syrokomla, dla którego każdy szczegół obrzędów kościelnych był pełną uroku świętością, nie mógł mieć zamiaru naigrawania się z obrzędu koronacyi religijnego.

Oburzono się na „Stellę“, jako na rzecz niemoralną wobec okoliczności, które wplotły się w życie poety. „Z błędu tworzyć systemat, jest zawsze rzeczą oburzającą“ mówi Kraszewski, powiedziawszy przedtem, że „Stella Fornerina jako poemat jest słabą.. jako temat fałszywą“, że „słabości życia nawet wyidealizowane, odsłaniać się nie powinny, chyba w sprawie ogólnej moralności, dowodząc wielkich praw odwiecznych“.

Tyszyński gorąco rehabilituje poemat, poświęcając mu wiele słów przekonywujących, lub chcących przekonać i zdjąć ze „Steli“ to *odium*, jakie na nią padło.

Może mi to nie będzie poczytane za chęć stawania ponad dwoma tak znakomitemi piórami, jeżeli powiem, że należałoby poetę zupełnie uwolnić od winy, a poemat poddać wyrokowi Kraszewskiego.

W Stelli rozwinął poeta pierwiastek erotyczny tak, jak go pojmował: najidealniej, jak go widzieliśmy u Ransdorfa, u Egli. To wyidealizowanie najczystsze miłości, owo upoetyzowanie, tak zwanej platonicznej miłości, tworzyłoby *activa* poematu, gdyby temat opierał się na fakcie, o którym słusznie czy niesłusznie, zupełnie inaczej zawyrokowała opinia wieków, tradycya, poczucie moralności. Niech tam nie będzie Rafaela, ale jakiś inny artysta, niech miejsce Stelli zajmie inna jakaś istota, a będziemy może mieli różne wątpliwości ze stanowiska psychologii i fizyologii, lecz uczucie moralności nie będzie się obrażało. Może nie będziemy wierzyli w taką wyjątkową miłość, co poprzestaje na doznawaniu duchowego upojenia, i poemat posądzimy o nienaturalność, ale nie znajdziemy argumentu do zarzutu, że poeta „z błędu pragnął robić systemat“. „Stella“ jest idealizowaniem nie miłości, lecz błędu, jest rękawicą rzuconą ustalonej opinii, utrwalonej tradycyi, a tem samem poczuciu moralnemu, i to ją potępia, to ją usuwa z rzędu utworów Syrokomli, tak prawie zawsze głęboko etycznych.

„Wiemy to od rodziny, powiada Kraszewski, że w chwilach przedostatnich choroby, gdy ktoś wspomniał o przedruku wszystkich dzieł jego, (Syrokomli), odezwał się z głębi duszy, objawiając życzenie, aby Fornariny nie przedrukowywać i postanawiając zapomnieć o niej, jak o grzechu i omyłce“. (D. n.)



Nowowybrany Wydział Towarzystwa zajął się zbieraniem składek na kupno zadatkowanego 13 tysiącami domu i dzięki niezwykłej ofiarności polskich sfer obywatelskich, zebrano potrzebną kwotę do dnia 16 lutego 1912 r, kiedy zawarto formalny kontrakt kupna, składając gotówką kwotę 7.000 K jako uzupełnienie do zastrzeżonych kontraktem 20 000 K.

Obecnie są właściwie dwa „Domy polskie", złączone wspólną ścianą, a będące każdy z osobna własnością innego Towarzystwa. Dom dawny pod l. 40 nabyty w r. 1902 jest własnością „Spółki pomocy i ochrony narodowej", stow. zarej. z ogr. poręką w Białej; dom zaś nowo nabyty w r. 1912 pod l. 38 jest własnością Towarzystwa kulturalnego pod nazwą: „Spółka ochrony i pomocy narodowej w Bielsku". Stan ten jest tylko przejściowym, dopóki nie przeprowadzi się połączenia obydwu towarzystw w jedno.

Obydwie te realności z dużymi ogrodami, przy ulicy ruchliwej i stacyi tramwajowej, przedstawiają dziś wartość około 120.000 koron, a wartość ta podniesie się znacznie z chwilą przeprowadzenia wyznaczonej ulicy poprzecznej do stacyi Biała Lipnik.

W „Domach polskich" mają swą siedzibę Towarzystwa: „Sokół Polski", „Koło T. S. L." i „Polskie zjednoczenie zawodowe chrześcijańskich rzemieślników i robotników".

Niemieckie tow. „Gesellverein" i pokrewne im organizacye, mają w nowo kupionym domu, zastrzeżony kontraktem kupna, lokal do października 1913. W tym też czasie, po złożeniu ostatniej raty kupna, w kwocie 9.400 K, będziemy mogli dopiero posuwać ze scian domu niemieckie godła i napisy.

Stan finansowy „Domów polskich".

Długi hipoteczne:

Dom p. l. 40.

1. Babetta Schöner 5%	K 20.000	
2. Bank kraj. we Lwowie 4%	„ 7 000	
3. Tow. Wzaj. Ubezpieczeń Kraków 5%	„ 4 000	
	K 31.000	K 31.000

Dom p. l. 38.

1. Kath. Gesellenverein (ostatnia rata kupna) 5%	K 9.400	
2. Bielitzer Sparkasse 4½%	„ 14.800	
3. August Geppert 4½%	„ 8 000	
4. Katholikenverein Bielsko 5%	„ 5.000	
	K 37.200	K 37.200
5. Tow. zaliczkowe ochrony własności ziemskiej w Limanowej — pożyczka wekslowa		K 4.900
Wszystkie długi na obydwóch realnościach wynoszą po 25 paźdz. 1912 r.		K 72 200

Możliwe dochody roczne na miejscu:

Czynsz z domu p. l. 40	K 2.228
„ „ p. l. 38	„ 2 000
Wkładki 500 członków	„ 1.100
Dary i składki miejscowe	„ 200
Razem	K 5.528

Konieczne wydatki bez amortyzacyi długów:

Procenta roczne od długów	K 3.480
Podatki z dodatkami	„ 1.200
Asekuracya, administracya i reperacye	„ 800
Razem	K 5.480

Na spłacenie rat amortyzacyjnych pozostaje zaledwie rocznie 48 K.

Cyfry te wykazują, że utrzymanie „Domu polskiego" budzi poważną troskę na przyszłość, i bez pomocy społeczeństwa całego ludność miejscowa nie zdoła uratować tej tak ważnej placówki, bo ludność miejscowa jest nie liczna i uboga.

Niebezpieczeństwo, grożące „Domowi polskiemu" w Bielsku, stało się dziś więcej niż poważne, bo wierzyciele Niemcy zaczynają wypowiadać nam swoje pieniądze i żądają doraźnie gotówki, grożąc licytacyą.

W tej chwili wypowiedzieli nam spadkobiercy Babety Schöner 20 000 K, Katholikenverein, 5000 K a Gesellenverein żada do końca czerwca 1913 roku 9400 K.

Pierwsze 25 000 K muszą być złożone do 31 grudnia 1912 r. inaczej „Dom polski" będzie stracony — zabiorą go Niemcy.

Do tej katastrofy dopuścić nie można! Nie wolno nam zaprzepaszczać tego, co lud przez 10 lat na swoich barkach dźwigał, odpierając dzielnie zalew germański.

Bielsko i Biała to szańce graniczne w odwiecznem „Drang nach Osten" Germanów Gdy padniemy w Bielsku-Białej — Niemcy pójdą bez przeszkody w głąb Galicyi Lud miejscowy jest załogą kresową, — walczącą ostatnim wysiłkiem.

Ten lud ginący pod teutońskiem „ausrotten" woła o pomoc do Rodaków z głębi kraju, a tej pomocy ma prawo się domagać w imię dobra ukochanej Ojczyzny. Każdy grosz przesłany na „Dom polski" w Bielsku wzmocni siły kresowego ludu i upaść mu nie da.

Zwracamy się przeto z gorącą prośbą, do wypróbowanej ofiarności Rodaków, o łaskawe nadsyłanie datków na „Dom polski" w Bielsku, pod adresem: Filia Banku Krajowego w Białej. Prosimy również o zapisywanie się na Członków „Spółki pomocy i ochrony narodowej w Bielsku" z wkładką dowolną, począwszy od 2 K rocznie.

Możeby zamiast składkowych drobnych ofiar, udało się pozyskać kapitał, tytułem pożyczki hipotecznej. Niechby ciążył na domu kapitał polski, zamiast niemieckiego, byle kapitał wyrozumiały, tani, ratalnie spłacany. Tak, czy owak, dom polski ocalić się musi!

Z racyi utworzonego związku, pracujących kobiet polskich, uwag kilka.

Dnia 23 września, w sali Tow. Technicznego, zebrało się nader liczne grono kobiet, aby mogło uczestniczyć, że tak powiem, przy kładzeniu kamienia węgielnego nowej instytucyi, która otrzymała, po lekkiej dyskusyi, nazwę Związku pracujących kobiet polskich Zagaił posiedzenie prof. Wasung, przewodniczył mu ks Mytkowicz, który, niemal wyłącznie dotąd, dźwigał na swych barkach całą przygotowawczą pracę, niezbędną dla puszczenia w świat tak ważnego dzieła.

Stawienie się, niezmiernie liczne, zainteresowanych, samo przez się dało wyraz jak tego rodzaju instytucya pożądaną jest i wyczekiwaną.

Utworzony związek, oparty na zasadzie kooperatywy, z minimalnym udziałem, bo dziesięciokoronowym, ma stworzyć coś w rodzaju bazaru, w którym nabywać będzie można wszystkiego, co należy do konfekcyi damskiej, oraz ubrań dziecięcych i haftów kościelnych.

Dom taki, racyonalnie zarządzany, może z czasem zajmować setki robotnic, a społeczeństwu dać możność zaopatrywania się we wszystko, co mu jest potrzebnem na miejscu, gdy dziś niesłychanie wiele, nietylko produktów surowych, ale rzeczy wykonywanych rękoma kobiet, sprowadza się z obcych stron.

Objaw zupełnie szczególny; tysiące rękodziel nie pozostaje w nędzy, dla braku pracy, a kupcy nasi zmuszeni są, w braku rąk uzdolnionych, wysyłać materyały do opracowania po za Kraków. Wynika to ze wspólnej nieznajomości, z braku śmiałości upomnienia się o pracę u jednych, z braku czasu dla szukania pracujących u drugich. Niemcy, Czesi, żydzi umieją zareklamować się i natarczywie narzucać konsumentom, nasza zaś robotnica siedzi zwykle w domu, czeka na robotę, płacze, modli się o nią, ale sama, celem zdobycia jej, kroku nie uczyni, nietyle przez lenistwo, ile dlatego, że nie wie, dokąd się udać; a niejedna dlatego, że zgłosiwszy się do pierwszego lepszego magazynu, spotkała się z odmową niewtajemniczonego, lub niechętnego współpracownika.

Stworzenie zatem pola pracy, dostępnego dla całych zastępów pracownic, to więcej niż jakakolwiek instytucya filantropijna To też z radością słuchały zebrane panie przemówień prezydyum, stwierdzając doniosłość instytucyi i ciesząc się doskonale opracowanym statutem, który ks Mytkowicz był łaskaw przeczytać

Jeden punkt wywołał żywą dyskusyę między zgromadzonymi. Szło o to, czy pozostawić, czy też wykreślić ze statutu, że do związku dopuszczane są kobiety tylko religii chrześcijańskiej. Punkt ten, raz przedyskutowany, miał być utrzymany w pierwotnem brzmieniu, później podległ nowej dyskusyi, ze względu, że kilkanaście pań uznało go za ścieśnianie ram działalności towarzystwa, za „niedelikane mięszanie się w kwestye sumienia", i zażądało wykreślenia ze statutu wyrazów: „religii chrześcijańskiej".

Dyskusya bardzo się ożywiła, a zarówno zwolenniczki, jak i przeciwniczki zmiany, przytaczały wymowne argumenty na poparcie swych zapatrywań aż wreszcie, znaczną większością głosów, uchwalono zatrzymać ów ustęp statutu w pierwotnem brzmieniu.

Jeżeli przeto zabieram głos w tej sprawie, to dlatego, aby wykazać, że jeżeli większość przyszłych członkiń Związku kobiet pracujących, tak gorąco obstawała przy zastrzeżeniu, że należeć doń mogą tylko kobiety religii chrześcijańskiej, uczyniły to nie z ciasnych uprzedzeń religijnych, lecz dlatego, że tylko tak postawiona kwestya była odpowiadającą celowi. Na ogół bowiem nie możemy powiedzieć, aby Kraków nie miał magazynów gotowych ubrań damskich i dziecięcych, składów bielizny, pracowni koronkarskich, szmuklerskich i t. d Moglibyśmy tu naliczyć tysiące pracownic, zajętych w tych przedsiębiorstwach. Idzie tylko oto, że przedsiębiorstwa te są prawie wyłącznie w rękach żydowskich; pracownice tam jedynie żydówki, a pracownic chrześcijańskich wcale nie biorą.

Nie ulega zaś wątpliwości, że gdyby statut Z. K. P. nie zastrzegł się przeciwko żydówkom, te, zachowując się z początku wyczekująco, z chwilą gdyby rozeszła się wieść, że instytucya prosperuje i ma zapewnioną egzystencyę, wtargnęłyby ławą i w Towarzystwie usunęły od pracy robotnice chrześcijańskie.

My pragniemy stworzyć nową placówkę, któraby z jednej strony dała licznemu zastępowi różnorodnych pracownic możność zbytu, zastępowi dziewcząt, nauczonych pracy zawodowej, możność pracy jako sprzedające, z drugiej strony paniom krakowskim, nie mającym na kupowanie u Schwartza, Grabowskiego, czy Praussowej, możność zaopatrzania się w towary nie u żydów. Mając to za cel, nie możemy żadną miarą dopuścić nie-chrześcijanek do Związku Kobiet Pracujacych Gdybyśmy zastrzeżenia tego nie zrobiły, Grodzka, Stradom i Kazimierz wylałyby wszystko, co im zbywa, jako pracownice do nowej instytucyi.

Zastrzeżenie takie nawet nie miłe, ale trudno; skoro pracownie żydowskie nie dopuszczają u siebie chrześcijańskich robotnic, choćby najzdolniejszych, musi Towarzystwo starać się o pracę dla nich.

A gdy już mówimy o przyszłym domu pracy kobiet, raz jeszcze zwrócić muszę uwagę tych, co się do stworzenia go przyłożą że przedewszystkiem pamiętać powinni, że ma to być zakład, dający możność kobietom niebogatym zapomnienia drogi na Stradom i Kazimierz Panie bogate mogą zawsze kupować wytworne i drogie towary w pierwszorzędnych sklepach Krakowa, ale trzeba pomyśleć o tem, aby, nie mogąca łożyć na zbytki, znalazła tani kostyum, kapelusz gustowny, choć skromniutki za 10—15 koron; niech znajdzie koronkę, czy wyrób szmuklerski, pończochy, czy bieliznę, nie paryskie, nie *dernier cri de la mode*, ale rzecz skromną, trwałą i niedrogą.

Niech też przyszłe kierowniczki nie postąpią tak, jak już kilkakrotnie bywało że zakłada się sklep z wyrobami krajowymi i wyznacza się na nie takie ceny, że kupiony takiż przedmiot, przysłany z zagranicy, dziesięć razy taniej wypadnie. Kapitał włożony w przedsiębiorstwo nie może dać wielkich procentów w pierwszych latach, natomiast jeżeli taki bazar rozwijać się będzie normalnie i znajdzie odpowiednie poparcie szerokiej publiczności, wyda z pewnością olbrzymie rezultaty.

Szczęść Boże zawiązującej się tak bardzo potrzebnej i oczekiwanej instytucyi.

Kobiety Polki przystępujcie jaknajliczniej do niej we własnym, tak bardzo doniosłym interesie.

Związek pracy kobiet będzie mógł w przyszłości stwarzać szkoły zawodowe, rozszerzeć działy, zajmować tysiące pracownic, ale na to musi każda dobra obywatelka kraju czuć się w obowiązku nabycia choć jednego udziału, które w przyszłości mogą być znakomitym sposobem umieszczenia kapitałów.

Marya Bogusławska.

Z naszej doli i niedoli.

Zabór pruski.

Wywłaszczenie. W rozprawach, nad interpelacyą polską o wywłaszczenie czterech majątków polskich w Wielkopolsce, zabrał głos poseł Korfanty w sejmie pruskim i wypowiedział mowę, którą, bodaj w streszczeniu, cała Polska usłyszeć powinna, aby stanęła przy mowcy z całym swym dwudziestomilionowym zastępem.

Uzasadniając interpelacyę posłów polskich rzekł czcigodny poseł:

„W chwili, gdy na Bałkanie chrześcijańskie narody, otoczone sympatyami wszystkich uczciwych czynników cywilizowanego świata, załatwiają rachunki z uciskiem, rząd pruski przedsiębierze krok, który depce nogami prawa drugich narodów. (Protesty na prawicy, potakiwania u Polaków). Rząd czyni po raz pierwszy użytek, z tak zwanego prawa wywłaszczenia Komisya kolonizacyjna uchwaliła cztery wsi wywłaszczyć. Właściciel jednej jest potomkiem męża, który na polach Königrätzu, za szczególną waleczność, został odznaczony stopniem porucznika. (Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków). Drugi majątek należy do wdowy z małoletniemi dziećmi. (Okrzyki u Polaków: Pfuj!) Z powodu 1.700 hektarów mają być pogwałcone najbardziej uświęcone podstawy uporządkowanego systemu państwowego; z tego tylko 827 hektarów ma być skolonizowanych. Dotąd rząd nie ważył się tknąć naszych posiadłości, teraz przynaglony przez ziejący zemstą hakatyzm wyszydza to, co stanowiło dotąd prawo wśród cywilizowanych ludów. Żyjemy pod panowaniem gwałtu, knebluje się nasz naród, wyzuwa się go z ojczystych zagonów, rujnuje nasze dobro, czynione zą starania o zniszczenie naszej kultury, występuje się przeciw narodowi, który nie cofa się przed największemi ofiarami, aby się utrzymać jako naród. Gdy król pruski zajmował polskie dzielnice, nazywało się:

— I wy macie swoją ojczyznę; zostajecie włączeni do mojej monarchii, bez potrzeby zaparcia się waszej narodowości Swoim językiem możecie się posługiwać obok naszego. Każdy Polak ma być dopuszczony wedle swoich zdolności do wszystkich urzędów.

Jaki szacunek mamy mieć dla państwa? Słowa królewskie winny mieć swoją wagę. (Bardzo słusznie! u Polaków!). Prawie miliard wydało państwo, aby naszemu narodowi uniemożliwić nabywanie ziemi; z drugiej zaś strony żyjącym wśród nas Niemcom zapewnia się wszelkie korzyści. Jest to nieprzerwane łamanie ustaw; Polacy muszą się jeszcze do tego przyczyniać płaceniem podatków. Wiemy, jakiej presyi używał minister, aby ten niecny cel osiągnąć. Ks. Bulow twierdził nawet, że jest życzeniem korony, aby ta ustawa gwałtu została uchwaloną. (Słuchajcie! u Polaków).

Uważamy uchwałę komisyi kolonizacyjnej za sprzeczną z ustawą. Jest obowiązkiem rządu ochraniać własność, bez względu na wyznanie, narodowość i przynależność partyjną. Prawa równe być mają także dla Polaków, którzy zawsze wypełniali obowiązki wobec państwa i przelewali krew na polach walki. Wywłaszcza się nas tylko dlatego, żeśmy Polakami! A dalej, rząd występuje teraz nawet przeciw postanowieniom tej ustawy gwałtu, mocą której wywłaszczenie ma być zastosowane tylko tam, gdzie niemieckość jest zagrożona, gdzie przez zabrane grunta możliwe jest zaokrąglenie niemieckich posiadłości. Tutaj niema mowy o zagrożeniu niemieckości, ani o potrzebie zaokrąglenia posiadłości; grunta leżą w polskiem otoczeniu.

Walka rządu z Polakami jest tchórzostwem i obłudą, prawo wywłaszczenia jest narzędziem dla zadawania męczeństwa słabym; ale świat cywilizowany osądzi to, jak dziś osądza męczeństwa zadawane w średniowieczu. Wywłaszczaniem nie uspokoicie hakatyzmu. Bezpieczeństwo prawa zniknęło u nas, nienaruszalność własności ustała w Prusiech. W dniu 22-go lutego 1886 r. oświadczył bar. Schorlomer w tej Izbie, że należało raczej nazwać ówczesną ustawę ustawą dla germanizacyi i protestantyzacyi Prus Wschodnich. Potem skarżył się on, że prezes ministrów użył słowa „wywłaszczenie". Jego syn Schorlemer - Lieser broni wywłaszczenia! Czerwony zalew szturmuje do tej Izby; sprzysiężeni nieprzyjaciele własności wywłaszczą wasze (zwracając się w prawą stronę Izby) dobra *pro publico bono.* Wasza polityka zdolna jest tylko wywołać u polskiej ludności rozgoryczenie i wzgardę. Jesteśmy narodem 20 milionowym o własnej historyi i kulturze i nie pozwolimy, aby nas traktowano jako helotów. Podejmiemy walkę na śmierć lub życie, a z naszymi siepaczami wróg kiedyś uczyni porachunek. (Żywe oklaski u Polaków).

Nabytek pruskiej ziemi. W Prusach Królewskich, na pograniczu pomorskiem, w okolicy czysto niemieckiej, przeszedł majątek Witzf Ide, obszaru 1400 mórg. za cenę 300.000 marek z rąk niemieckich w polskie.

Burmistrz - hakatysta. Burmistrz poznański Wilms, który nietylko stoi na czele miasta ze znacznie przeważającą ludnością katolicką, ale i sam jest katolikiem, wziął udział w zebraniu powitalnem, odbywającego się w Poznaniu zjazdu Towarzystwa Gustawa Adolfa. Towarzystwo to utworzono wprost do walki z katolicyzmem i ten swój charakter bojowo-antykatolicki objawia na każdym kroku. P. Wilms w imieniu miasta Poznania witał zebranych bardzo gorąco, wygłaszając hymn pochwalny dla idei, reprezentowanej w Towarzystwie Gustawa Adolfa.

Sprzedawczyki. Niemieckie Okoniny, największe gospodarstwo w śliwickiej parafii w Borach Tucholskich, obejmujące 430 mórg, sprzedał, jak donoszą do *Kuryera pozn.* p. Siewkowski, dawniejszy oficyalista Sikorowa na Kujawach, spółce parcelacyjnej „Deutsche Besiedelungsgenossenschaft" w Tucholi za 82 500 marek. P. Siewkowski kupił ten majątek przed pół rokiem z rąk polskich za 78 000 marek.

Gospodarz Chwirot sprzedał swoje 74-morgowe gospodarstwo w Główniе, pod Poznaniem, Niemcowi Gumprechtowi. Pośredniczył ajent Kałużny. W Woli Skorzęckiej powiatu witkowskiego nabył, jak donoszą *Lechowi,* owczarz Rogalski z Bacharcia od wdowy Kolaściny 59 mórg. Nie mając dosyć pieniędzy i będąc w położeniu trudnem, sprzedał ziemię tę sąsiadowi Niemcowi ze stratą półtora tysiąca marek. Już trzy gospodarstwa z kolei przeszły tam w ręce niemieckie, obecnie zaprzepaścili Kolaścina i Rogalski czwarte gospodarstwo.

Zabór rosyjski.

Tego za wiele! Zabierają nam ziemię, dławią nam mowę ojczystą, zamykają kościoły, nie dopuszczają do urzędów, a teraz jeszcze i chleb nam z dłoni, z przed ust wytrącają. Bracia Słowianie! Obłudni obrońcy Bałkanu! Mordercy Polski! Oto *Głos wileński* pisze: W Wilnie monopol handlu artykułów szkolnych, papieru i materyałów piśmiennych został nadany przez władzę szkolną rosyjskiemu sklepowi Kowaluka, w ten sposób, że wymagają od uczniów szkół rządowych, aby kupowali zeszyty i inne potrzeby szkolne wyłącznie u p Kowaluka. Skutkiem tego bojkotu firm nierosyjskich, przeprowadzonego przez władzę szkolną, p. Ejdukiewicz, właściciel sklepu materyałów piśmiennych, postanowił swój sklep zwinąć i już przystąpił do likwidacyi. Niedopuszczani do posad rządowych, szukaliśmy nieraz zajęcia i kawałka chleba, biorąc się do handlu, ale teraz i w tej gałęzi zarobkowania zaczynają utrudniać nam egzystencyę nacyonaliści rosyjscy, obdarzeni przywilejami.

ZE ŚLĄSKA.

Owoce „Schulvereinu". W Czechowicach istnieje, obok szkoły wydziałowej T. S. L prywatna szkoła „Schulvereinu". Do jednej i drugiej chodzą dzieci górnicze z Żebraczy i Grabowic. W owej szkole „Schulvereinu", nauczyciele zasiewają w serca dzieci nienawiść i pogardę do wszystkiego co polskie, a wmawiają w nie, że chlubą i zaszczytem być Niemcem, bo Niemcy stoją na szczycie cywilizacyi, a Polacy tyle warci, ile się czegoś od Niemców nauczą.

Taki posiew, rzucany na fantazyę dziecięcą, wydaje też owoce. Dziatwa polska, o ile do owej szkoły uczęszcza, wynaradawia się i spogląda z wyniosłością, butnie na kolegów ze szkoły T. S. L., a co gorzej: oto łączy się z Niemcami przeciw polskim braciom i urządza na nich wraz z Niemcami, napady. Dnia 22 października napadła banda „Schulvereinistów", smarkaczy 12-letnich, na spokojnie idących uczniów z wydziałowej. Z za wału kolejowego posypały się kamienie i cegły na głowy niczego się nie spodziewających uczniów. Skutki były fatalne. Z młodych twarzy polała się krew, a jeden z nich, Artur Kasprzyk, ugodzony cegłą w czoło przez Erberta, syna akuszerki, która żyje jedynie z polskiej ludności, padł zemdlały. Przechodzący robotnicy zanieśli zranionego do Dra Picka, który, w obecności nauczyciela St. Królikowskiego, skonstatował przebicie czoła twardem narzędziem. Rana nie jest niebezpieczną, lecz chłopiec do szkoły iść nie chce, bojąc się zemsty. W każdym razie 14 dni nie wolno mu chodzić do szkoły

Zdawałoby się, że ten fakt powinien oburzyć i Niemców. Lecz gdzież tam! Oto na drugi dzień, za czterema uczniami z wydziałówki, pędzi z psem i szpicrutą hakatysta Helmbacher, syn maszynisty. Chwyciwszy jednego, Bargła, grozi mu, że w razie, jeżeli powie, że ich zaczepiły niemieckie dzieci, odpłaci mu się, że popamięta.

Biedny chłopiec, widząc nad sobą szakali wzrok wstrętnego prusaka, czując silną dłoń na ramieniu, odpowiedział tak, jak sobie tego życzono. Ale powoli, panowie. Gwałt w biały dzień, wywarty na biednym chłopcu. drogo odpokutujecie przed kratkami sądowemi. Jak słuchy chodzą, to w pierwszym rzędzie nauczyciele niemieccy są winni, bo do napaści nawet zachęcali.

W Polskiej Ostrawie objawiają Czesi coraz zawzięciej lekceważenie polskiego języka. Kupcy, kramarze, rzemieślnicy czescy posługują się wywieszkami (szyldami), tudzież ogłoszeniami w języku czeskim i niemieckim, a polski najzupełniej pomijają, choć Niemców tu garść mała, a ludności polskiej najwięcej. Tembardziej to razi, że polscy przemysłowcy, rękodzielnicy, nie pomijają nigdy czeskiego języka i wywieszki, czy ogłoszenia Polaków, zawierają zawsze tekst czeski, obok polskiego.

Tem bardziej to razi i uraża uczucia polskie, że Czesi czynią to z umysłu, prowokacyjnie, nie tając się z tem, że na „czeskiej"(?) ziemi są oni panami i panowania swego z Polakami nie podzielą.

Morawska Ostrawa. Przed niedawnym czasem, przybył do tutejszej gazowni inżynier Müller, rodowity Prusak. Pan ten chciał odrazu usunąć zajętych w gazowni Polaków i zastąpić ich junkrami pruskimi. Robotnicy polscy, jako też monterzy narodowości polskiej, przyzwyczajeni do ludzkiego traktowania, przez poprzedniego inżyniera p. Brauna, nie mogą się pogodzić z „pruskim systemem traktowania ludzi" przez Müllera, i kilku Polaków wolało porzucić pracę w gazowni, nie chcąc znosić szykan nowego naganiacza.

ROZMAITOŚCI.

Z przed sześciu lat, ale nowe. Lwowski *Śmigus* w Nrze 10, z 15 maja 1906 r. umieścił (w „Kronice krakowskiej") takie narzekanie Warszawiaka:

„Przybyłem do was z żoną, dwoma synami i córką, bo miałem nadzieję, że przyjmiecie mnie jak brata, ale grubo się zawiodłem; musiałem za wszystko, nawet za buty płacić. Syna, który skończył dwie klasy szkoły średniej w Warszawie, gdzie każdy stójkowy jest tak inteligentnym, że mógłby być u was profesorem uniwersytetu, wasi profesorowie zamiast uważać to sobie za zaszczyt, że się poniżył zdawać przed nimi maturę, spalili. Drugiego syna, który będąc żywego temperamentu, zarzucił nauki i zajmuje się reformą społeczeństwa, za to, że na zgromadzeniu towarzyszy oderwał żołnierzowi policyi tylko pół ucha, zamknięto do kryminału. Córki, co chodziła w Warszawie trzy lata do pensyonatu, nie przyjęto na wydział medyczny, a co już jest największą bezczelnością, modniarka śmiała skarżyć moją żonę o zapłacenie piętnastu, na kredyt wziętych, kapeluszy. Całe wasze postępowanie było wstrętne, niepatryotyczne. Ze wstrętem opuszczam Kraków i nigdy tu już moja noga nie postanie".

I dziśby podobną satyrę powtórzyć można, a nie tyle chyba w samym Krakowie, ile w tych okolicach kraju, gdzie liczniejsza gromada podobnych Warszawiaków osiadła.

Nie dzielimy naszego narodu według zaborczych kordonów. Głośno powtarzamy, że Polak wszędzie, na każdym skrawku polskiej ziemi, musi i powinien być, jak u siebie w domu; więc nie powinno być w Królestwie Galicyan, czy Poznańczyków, jeno Polacy, na odwrót u nas nie ma i być nie powinno Królewiaków, jeno są Polacy.

Nie możemy atoli zgodzić się na to, aby rodacy z poza kordonu, przywłaszczali tu sobie rolę

mentorów, wodzirejów, stawali tu na pedestalu i domagali się hołdu poddańczego, albo zaproszeni gościnnie, po bratersku do wspólnego stołu, zasia dali przy nim sami, a nas gospodarzy od własnego stołu odpędzali.

Chcemy widzieć braci i po bratersku dzielić się wszystkiem, czem podzielić można i potrzeba, ale też w zamian: braterskiej życzliwości i delikatności żądać mamy prawo.

Pretensyonalność, zarozumiałość, wyniosłość narzucanie fermentów wszelakich, lekceważenie wszystkiego co jest, a sięganie po regimentarstwo, nawet odpędzanie nas od własnej miski, to zjawiska wprawdzie nie powszechne, ale częste.

Więc Straż Polska, nawołująca do miłości bratniej, do wyrozumiałości wzajemnej, pisząc o tem, czyni to w tym celu, aby te nie zdrowe, nie miłe, niekiedy tylko śmieszne objawy, niekiedy zaś brzydkie, usunąć, a zarazem zwrócić uwagę, że według tych objaw nie godzi się i nie można sądzić wszystkich rodaków za kordonem.

Pamiętać trzeba, że wiatr unosi więcej plewy, niż ziarna. Ziarno zostaje na boisku, a plewę unosi wiatr za wrota stodoły, aż ku naszym progom.

Drużyny Bartoszowe, odbyły niedawno drugi swój zjazd we Lwowie, w tamtejszej sali ratuszowej. Dotąd istnieje 79 związków w całym kraju, najwięcej w Galicyi wschodniej; liczą one 3.520 członków. Drużyny powstały głównie na pasie, wzdłuż Podkarpacia, od Kołomyi do Sanoka; zawiązują się także w Galicyi zachodniej. Celem ich jest strzeżenie ducha narodowego po wsiach, zakładanie bibliotek i straży pożarnych, urządzanie przedstawień amatorskich i chórów. Drużyny zorganizowały w roku zeszłym 97 obchodów narodowych, 70 przedstawień i 49 zabaw; wydają pisemko tygodniowe *Dzwonek*, jako organ Rady naczelnej.

Na zjazd przybyło 150 delegatów; większość w rogatywkach i z szarfami biało-czerwonemi w pasie; niektórzy mieli osobne mundury, używane przez członków drużyn. Delegaci wysłuchali nabożeństwa w kościele OO. Karmelitów, poczem w pochodzie udali się do sali ratuszowej, gdzie oczekiwali ich: prezes Rady nadzorczej Tadeusz Cieński i reprezentanci związku „Sokołów". Zjazd otworzył główny naczelnik p. W. Dajczak, potem przemawiali pp Tadeusz Cieński, Dr. Adam i Dr. Dzięślewicz. Dłuższą dyskusyę wywołało sprawozdanie Rady naczelnej, następnie referaty o wzorowej drużynie i o domach drużynowych. Powzięto również kilka uchwał w sprawach drużyny; wreszcie wybrano Radę naczelną i nadzorczą.

Organizacya to wielce pożyteczna, nawet niezbędna, aby chronić lud polski od natarczywego krzywdzenia przez ruską agitacyą. Drużyny Bartoszowe nie występują zaczepnie, jak ruskie Sicze, jeno podtrzymują polskiego ducha w polskim ludzie, aby nie przepadł w rozhukanym rozlewie ruskim.

Zapomniana fundacya. Dnia 25-go zeszłego miesiąca odbyło się w Warszawie, pod przewodnictwem p. J. K. Kochanowskiego, pierwsze powakacyjne posiedzenie wydziału II. Towarzystwa naukowego warszawskiego, na którem wygłosił p. Aleksander Kraushar odczyt pod tytułem: „W sprawie fundacyi naukowej Józefa Aleksandra ks. Jabłonowskiego, wojewody nowogródzkiego, w Lipsku (1774 do 1912).

W roku 1774 uczony magnat polski ks. Pruss-Jabłonowski, utworzył w Lipsku swego imienia Towarzystwo naukowe, którego zadaniem miało być: przyznawanie corocznie medali złotych za rozprawy z dziedziny historyi, nauk przyrodniczych i matematycznych. Fundusz żelazny na ten cel zabezpieczonym został, na wieczne czasy, na skarbcu i na dobrach miasta Gdańska. Fundacya uzyskała zatwierdzenie ze strony panującego podówczas elektora Fryderyka Augusta. Między warunkami statutu fundacyjnego, na pierwszem miejscu, zastrzegł ks. Jabłonowski, by rozprawy z dziedziny historyi poświęcone były badaniom wewnętrznym dziejów Polski, oraz, by do składu Rady nadzorczej należał zawsze uczony Polak. Radę nadzorczą ustanowić miało gremium profesorów uniwersytetu lipskiego, lecz opiekunem fundacyi miał być, na wieczne czasy, potomek z linii prostej rodu Pruss-Jabłonowskich, w ich zaś braku potomek w linii kollateoralnej, a nawet jedna z najstarszych niewiast tegoż rodu.

Warunki te fundacyi wykonywane były przez czas niejaki po zgonie fundatora, a nawet jeszcze w roku 1830. Towarzystwo Jabłonowskiego zwróciło się do ówczesnego Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, z prośbą, o współudział w wyborze tematu z historyi polskiej. Z biegiem jednak czasu, wskutek biernego zachowywania się rodu Jabłonowskich, co do funduszu antenata, Towarzystwo lipskie przeistoczyło się na fundacyę przeważnie germańską, różną zupełnie od myśli pierwotnej statutu. Sprawę tę po poszukiwaniach, podjętych w archiwum państwowem w Dreźnie, wyjaśnił w obszernym referacie p. Al. Kraushar i opierając się na warunku końcowym statutu, według którego, w razie naruszenia w czemkolwiek jego rozporządzeń, potomkowie rodu Jabłonowskich będą mieć wieczyste prawo uchylenia fundacyi i przeniesienia jej w innym składzie gdzieindziej, wysnul końcowy wniosek o konieczności podjęcia należytych kroków, by, zasobna w środki pieniężne fundacya ks. Jabłonowskiego, mogła nadal istnieć i działać z pożytkiem dla nauki i uczonych polskich. W dyskusyi zabierali głos pp: Aleksander Jabłonowski, Edward Bogusławski, Erazm Majewski, Marceli Handelsman, Franciszek Pułaski, I. T. Baranowski, oraz przewodniczący J. K. Kochanowski.

Po jakiemu mówi Wisła? Pisarz żargonowy żydowski Szulim Asz, którego utwory były grane na scenach polskich, ogłosił w redagowanym przez siebie warszawskim *Frajndzie* artykuł, wzywający żydowskich wyborców, aby powołali na posła z Warszawy żyda. W artykule tym pisze p. Asz między innemi: „Nie wiem, dlaczego ja jestem mniejszym gospodarzem w kraju, niż każdy dobry Polak... Czy Wisła mówi po polsku? Dla was mówi ona po polsku, dla mnie — po żydowsku. Jeżeli wy macie wieś, to my mamy — miasteczko. A co było wpierw? To dla mnie bez różnicy. Nie było mnie przy tem, gdy się budowało i was przy tem nie było. Czego wy, Żydzi się obawiacie? Co oni (Polacy) mogli zrobić, to już wam zrobili, co dać mogli, to dali. Już od nich nic nie dostaniemy, bo już nie mają co rozdać. Oni tu nie są panami, oni tu znaczą tyle, co i my".

Ruskie krzywdy. Rusini rozkoszują się prawdziwie w powtarzaniu kłamstw: o krzywdach, doznawanych od Polski i Polaków. Ileż to oszczerstw, ile obelg padało i pada, z piór ruskich na królów naszych, na koronę Jagiellońską! Ale zmienia się ten nastrój nienawiści, nawet w uwielbienie dla królów naszych, jeżeli tego wymaga korzyść materyalna. Gdy trzeba udowodnić, że ten, lub ów król polski, czy dygnitarz, zezwolił parochowi, czy cerkwi na wykonywanie prawa bezpłatnego poboru drzewa na opał z lasów, należących do dóbr swoich, lub majętności tego, lub owego miasta, wówczas bardzo skrzętnie grzebią Rusini w źródłach polskich i starych dokumentach, do których wtedy nie czują odrazy.

Illustracyą tego jest sprawa trembowelska. Oto gmina Trembowla zaprzeczyła, miejscowemu probostwu grecko-katolickiemu, prawa bezpłatnego poboru drzewa, z lasów należących do dóbr miasta Trembowli.

I wówczas nasi mili sąsiedzi czem skwapliwiej zajrzeli do źródeł polskich i powiadają, jak to szlachetnie było za panowania królów polskich, jak to grecko-katolickiemu probostwu, względnie cerkwi św. Mikołaja w Trembowli, nadał to prawo Jan Kazimierz, przywilejem z daty Lwów 10 grudnia 1652, zatwierdzonym przez króla Augusta III. przywilejem z daty Warszawa, 11 grudnia 1752, jako dalej to prawo temuż probostwu, względnie cerkwi Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi, zatwierdził król Michał przywilejem z daty Warszawa, 10 października 1671, król Jan III. i August II. — jako potem po zaborze przez Austryę Galicyi sprawa się miała itp.

Jacy mili są wówczas ci polscy królowie, gdy chodzi o rzecz taką, jak pobieranie 72 fur drzewa opałowego...

Inny obrazek.

Jeszcze za czasów Józefa II. spłonęła w Podkamieniu cerkiew „Spasa". Wobec tego Dominikanie tamtejsi czasowo odstąpili biednej ludności ruskiej kaplicę dużą, murowaną, ponieważ ludność ruska nie miała za co cerkwi nowej wystawić. Aż do dnia dzisiejszego Rusini cerkwi nie wystawili, i nietylko nie myślą wcale o zwrocie kaplicy, ale nawet kaplica dominikańska, zamieniona na cerkiew, służy obecnie do „borby" przeciw Dominikanom i ludności polskiej.

Tutaj to jeden z księży ruskich zdzierał publicznie różańce i skaplerze z piersi wiernych, rozdzierał je na kawałki i nazywał pętami; tutaj inny powiedział, powierzonym swej pieczy owieczkom: „Jeżeli nie ma w cerkwi służby Bożej, to idźcie raczej do karczmy niż do kościoła" Tutaj nie chciano dawać rozgrzeszenia tym Rusinom, którzy chodzili na nabożeństwa do kościoła, i jakkolwiek kaplica ta obecnie niema żadnych przywilejów, ani odpustów, mimo to od kilkudziesięciu lat, wbrew zakazowi, zapominając o swym kalendarzu, równocześnie z Dominikanami odprawia ruskie duchowieństwo odpusty, bałamucąc przytem ludność, że nie w kościele jest cudowny obraz, ale w cerkwi, i że w niej tylko można dostąpić odpustu.

Takto wygląda krzywda, wyrządzona przez Polskę i Polaków Rusinom.

Z przemysłu i bojkotu.

Kółka Ziemian. Dnia 31 z. m. odbyło się we Lwowie zebranie naczelnego komitetu Kółek ziemian, wraz z prezesami Kółek okręgowych. Przewodniczył ks. W. Czartoryski. Głównym punktem obrad był projekt zmiany statutu, celem połączenia się z pokrewną organizacyą „Kół zjazdów". Nowy statut ma również wprowadzić znaczne obostrzenie w sprawie sprzedaży spekulacyjnej i parcelacyi majątków ziemskich, prowadzących do ubożenia ekonomicznego przez zmniejszenie produkcyi rolnej. Przewiduje też nowy projekt statutu wpływ organizacyi Kółek ziemian także i na majątki nieczłonków, za pomocą publicznego piętnowania handlu ziemią, oraz oddawania gospodarstw czy to na własność, czy też drogą dzierżawy w niepowołane ręce. Resztę obrad, które przeciągnęły się do późnego wieczora, zajęły sprawy organizacyjne Towarzystwa, oraz spraw jednomyślnego postępowania członków kółek ziemian, przy najbliższych wyborach do Związku przedsiębiorców gorzelni rolniczych.

Bibułki cygaretowe. Przemysł w kraju naszym nabiera rozgłosu za granicą, w wielu już rodzajach wyrobów, a między nimi zyskał sobie wielkie uznanie i pokup: papier z fabryki braci Kolischerów w Czerlanach i bibułka papierosowa z fabryki Weisera w Sassowie pod Złoczowem, tudzież akcyjna fabryka w Żywcu. Fabrykę w Sassowie, założył w r. 1869 Zygmunt Weiser, początkowo jako fabrykę grubego papieru. Wojna francusko niemiecka, odciąwszy Francyę od eksportu, wywołała w całej Europie konjunkturę, z której korzystając Zygmunt Weiser przemienił swój zakład na fabrykę papieru, wyłącznie cygaretowego i odtąd stale ją rozwijał. To też fabryka sassowska, bez żadnej przesady, zajęła wnet pierwsze miejsce w Austryi i to głównie, jako fabryka eksportowa, wysyłając swój papier do Ameryki, Anglii, Turcyi, Egiptu, Niemiec, Chin i t. d. Po śmierci założyciela, kierownictwo objęła wdowa wraz z synami: Henrykiem, (byłym posłem) i Józefem Weiserami. Fabryka stale wzrastając, doprowadziła do rocznej produkcyi wartości około 3 mil. kor. Jak donosi *Handelsmuseum*, zdobyła fabryka sassowska właśnie nawet rekord światowy, a obok niej drugi galicyjski zakład, akcyjna fabryka bibułek w Żywcu.

Rząd rumuński rozpisał międzynarodowy przetarg na dostawę bibułek dla zarządu tytoniowego, w kwocie około 1,700.000 fr., przyczem obok ceny, głównie rozstrzygać miała jakość. Do konkursu stanęły fabryki francuskie, włoskie, niemieckie, węgierskie i austryackie. Otrzymały: fabryka Zygmunta Weisera w Sassowie około 800.000 fr., akc. fabryka papieru w Żywcu, około 600.000 fr., tak, że obie fabryki galicyjskie zabrały zwyż połowę dostaw, kiedy druga połowa rozdzieliła się aż na 7 innych fabryk. Światowa np. fabryka francuska „Abadie" otrzymała dostaw tylko za 22.000 fr. Fabryka sassowska, dostawca bibułek także dla austryackiego zarządu tytoniowego, kilkakrotnie już zwyciężała przy międzynarodowej konkurencyi w Serbii.

Zużytkowanie przemysłowe trawy „turzycy". Muzeum Exportowe Ligi Pomocy przemysłowej stwierdziło, że w Galicyi mogłaby się rozwinąć nowa gałąź produkcyi, przez urządzenie wywozu trawy „turzycy", używanej do celów tapicerskich. Trawa turzyca, po łacinie „carex brizoides", po niemiecku „Waldgras, Alpengras, Haargras", także „Waldhaar" zwana, rośnie obficie w wielu okolicach w Galicyi, ponieważ jednak nie nadaje się na paszę, a chyba tylko na podściółkę, przeto marnieje przeważnie bezużytecznie. Trawy tej używają tapicerzy zamiast trawy morskiej, i można by ją wywozić w znaczniejszych ilościach za granicę, do wspomnianych celów. Muzeum Exportowe Ligi Pomocy Przemysłowej wyszukało już firmę w Niem-

czech, którąby taką trawę zakupywała i zwraca się obecnie do właścicieli obszarów, na których trawa turzyca rośnie, jak również do osób, któreby zajęły się eksploatacyą tej trawy, z zaproszeniem, by zechciały zgłosić się do Muzeum Eksportowego Ligi Pomocy Przemysłowej, Lwów, ul. Pańska 11.

Kurs koronek irlandzkich. Sekcya Towarzystwa pomocy przemysłowej w Krakowie, otworzyła kurs koronek irlandzkich. Kursem kieruje fachowa instruktorka p. Marya Przybylska. Uczenice, wśród których jest kilka obywatelek i nauczycielek ze wsi, powitała p. Wanda Steczkowska, zachęcając je do pilnej pracy; dalej przemawiali radca Till i dyrektor Kwaczyński o znaczeniu przemysłu domowego.

„Vistula". Dowiadujemy się z przyjemnością, że pod tą firmą istnieje w Krakowie, (ul. Krowoderska), fabryka pudełek drewnianych na kapelusze. Zwracając na nią uwagę, uzupełniamy przez to wykaz towarów wyrabianych w kraju, umieszczony w numerze październikowym.

Ze Lwowa. Szkoła i pracownia dla sztuki stosowanej Maryi Tomaszewskiej we Lwowie, zostanie w bieżącym roku szkolnym przeniesioną do gmachu zakładów naukowych Zofii Strzałkowskiej, przy ulicy Zielonej l. 22, gdzie zajmie kilka obszernych, jasnych i powietrznych osobno na ten cel zbudowanych, i odpowiednio urządzonych sal naukowych.

Z tego też powodu otwarcie szkoły nastąpi dopiero w początkach stycznia.

W grudniu bież. roku będzie otwarta wystawa wyrobów przemysłu artystycznego, które kierowniczka szkoły przygotowuje już od dłuższego czasu, wraz ze swemi pracownicami, chcąc zapoznać jak najszersze koła publiczności z tą, tak mało jeszcze dotąd znaną, gałęzią przemysłu.

O dniu otwarcia wystawy doniosą osobne ogłoszenia.

Wpisy na kursa odbywać się będą podczas trwania wystawy.

Upraszamy Członków i Prenumeratorów o przysłanie zaległości za drugie półrocze.







Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.